

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Michał Wołoszczak – *W dalekiej Jakucji***

Ilekcroć spotkam się z prośbą o przytoczenie wspomnień z okresu pobytu na Syberii, zawsze rozpoczynam od stwierdzenia, że jestem bardzo nietypowym Sybirakiem. Nie doświadczyłem okrucieństwa ze strony ludzi oraz nie zaznałem głodu, nieodłącznego towarzysza zesłańców. Wiem, że głód jest czymś strasznym, popycha ludzi do różnych, moralnie nagannych działań. Bywałem głodny, racje żywnościowe były skąpe, ograniczone, ale nie znam uczucia chronicznego głodu.

#### **1. Lubliniec – Myślatycze**

Przed wybuchem II światowej wojny mieszkaliśmy na Śląsku w miejscowości Lubliniec. Mój ojciec był zawodowym żołnierzem. Mieszkaliśmy nie w koszarach, ale około 0,5 km dalej, w domu listonosza – pana Pisulskiego. Wychowaniem moim i młodszego brata zajmowała się mama. Miała w stosunku do mnie sprecyzowane marzenia, w przyszłości miałem zostać „generałem” czyli oficerem, dlatego też obowiązywała mnie pewna dyscyplina. Po kądzieli pochodzę z rodziny śląskiego powstańca, tradycje patriotyczne w naszej rodzinie były kultywowane. Dziadek mój był dowódcą powstańczej kompanii w Biskupicach, jego trzech synów było powstańcami, a trzy córki, jako pielęgniarki doglądały powstańców. Bardzo dużo czasu spędzałem z żołnierzami

w koszarach, bywałem z nimi na manewrach, które odbywały się na poligonie w Wieluniu. Ponieważ ojciec zazwyczaj był bardzo zajęty, opiekę nade mną sprawował, a pamiętam to doskonale, starszy strzelec Dębiński. Był on amunicyjnym w kompanii ojca i to on odpowiadał za moje bezpieczeństwo. Ogromnie go lubiłem, bo zawsze czymś mnie zaskakiwał wymyślając różne zajęcia. Pamiętam, że jednego razu dał mi do zabawy amunicję ćwiczebną. Była to drewniana amunicja, ale pociski były w różnych kolorach: czarne, czerwone, zielone. Nie wiem co te kolory oznaczały, ale pamiętam, że sortowałem je według koloru i byłem tym tak bardzo zaabsorbowany, że naprawdę przez dłuższy czas nie miał ze mną problemu. Tradycyjnie po zakończeniu ćwiczeń na poligonie, w Lublińcu odbywała się uroczysta defilada. Z przyjemnością obserwowałem przebieg musztry paradnej i słuchałem wojskowej orkiestry. Byłem wtedy bardzo dumny z siebie, z mojego ojca i maszerujących żołnierzy.

Na kresach wschodnich, w Myślatyczach w obwodzie lwowskim, nasza rodzina posiadała majątek ziemski. W nim to każdego roku od czerwca do sierpnia spędzaliśmy wakacje. Ponieważ od pewnego czasu wyczuwało się nieprzychylnie nastroje ze strony Niemców, a nawet szeptano o możliwości konfliktu zbrojnego, ojciec w 1939 roku nie pojechał z nami, lecz pozostał w garnizonie. Rodzina moich dziadków była bardzo liczna, bo babcia urodziła 24 dzieci z tego tylko dwóch bliźniaków zmarło przy porodzie. Dlatego też w Myślatyczach w okresie letnim przebywała nas, dzieciaków duża grupa. Z tamtego okresu pochodzą bardzo miłe wspomnienia. Duża ilość kuzynów i kuzynek gwarantowała nam bezkarność podczas szalonych gonitw i harców. Terenem zabaw były zabudowania, park, łąki i pola. Nasze zabawy były pełne różnych nieprzewidzianych upadków, stłuczeń, ale zawsze towarzyszył nam śmiech. Trudno było czasami ten dziecięcy żywioł opanować, lecz mojej mamie zawsze się to udawało.

Pod koniec sierpnia ojciec wysłał do mamy do Myślatycz telegram, abyśmy nie wracali do domu i pozostali na dłużej nieokreślony czas w majątku. Gdy rozpoczęła się wojna, ojciec ze swoim 74 Górnos Śląskim Pułkiem Piechoty stacjonującym w Lublińcu włączył się do działań w obronie polskich granic. Przez pierwszy dzień żołnierze dzielnie walczyli wokół Lublińca, ale pod naciskiem wojsk nieprzyjaciela musieli się wycofać. Już 3 września 7 Dywizja Piechoty została zniszczona i tylko nieliczne pododdziały, którym udało się wydostać z niemieckiego okrążenia podejmowały na własną rękę próby przebicia. Reorganizacja przewidziana była w okolicach Tomaszowa Lubelskiego, niestety doszła do niego tylko niewielka grupa żołnierzy. Ojciec również nie dotarł do wyznaczonego miejsca, bo został wzięty do niewoli. Podczas rewizji Niemcy odebrali mu pieniądze i zegarek, ale część ukrytych pieniędzy nie znaleźli. W niewoli przebywał tylko dwa dni, bo dołączył do dwóch szeregowców planujących ucieczkę. Nocą w miejscowości Stary Lubliniec niepostrzeżenie oddalili się od obozu i ukryli się niedaleko wsi w stodole. Rano po spotkaniu z gospodarzem, zapłacili za obfite śniadanie składające się z ogromnej ilości jajek. Kiedy okazało się, że Niemcy ich nie szukają, poszli dalej w kierunku Rzeszowa. Plan ucieczki zakładał, że każdy kontynuować ją będzie indywidualnie. Od kowala, w jednej z mijanych wsi, ojciec kupił rower i przemieszczał się dalej sam w kierunku Przemyśla, omijając duże miasta. W jednej ze wsi, gdy zatrzymał się na posiłek trafił na sowiecki patrol z oddziałów liniowych, ale nie z NKWD. W tym okresie Rosjanie nie byli jeszcze wrogo

nastawieni do Polaków. Nie przyznał się, że uciekł od Niemców, tylko, że *papał w plen*, a Niemcy go puścili bo pochodził ze Lwowa. A to ty Ukrainiec, co ojciec skwapliwie potwierdził i patrol poszedł dalej nie zwracając sobie nim głowy. Ale to nie koniec przygód z Rosjanami, bo gdy dojechał do Myślatycz, nie zauważył nikogo obcego i będąc przekonany, że jest bezpieczny radośnie wkroczył na ganek, a tam natknął się na stojącego bolszewika z naganem (nagant-rewolwer) w rękę. Dopiero zegarek naszej ciotki zdołał go przekonać, że nie jest *białym oficerem*. Tak więc w połowie września 1939 r. całą rodziną zostaliśmy mieszkańcami Myślatycz. Rządcami w majątku byli ciocia i wujek, ojciec był bratem właścicielki, zaś mama była żoną jej brata. Stabilizacja trwała do grudnia 1939 r. Z tamtego okresu pamiętam swój udział w jasełkach, które najpierw odbyły się w kościele katolickim, a dwa tygodnie później w cerkwi prawosławnej.

Na początku stycznia 1940 r. rozparcelowano nasz majątek i przekształcono w kołchoz. Przewodniczącym gminnej rady narodowej został komunista, Ukrainiec. Jego żona wcześniej u nas pracowała, była brygadistką dojarek. Obydwoje bardzo szanowali ojca. W majątku pracowało dużo Ukraińców i Polaków i nie należeliśmy do ludzi prześladowanych kogokolwiek więc z nowymi władzami nie mieliśmy zatargów. Natomiast ciocia i wujek uznani zostali za panów, czyli osoby niepożądane. Wujek, Ormianin wyjechał razem z żoną i dziećmi do Przemyśla. My pozostaliśmy w majątku. W lutym 1940 r. dowiedzieliśmy się, że wywieziono jednego z naszych sąsiadów, a cztery miesiące później, 13 czerwca 1940 r. nocą zapukali do nas jacyś panowie i oświadczyli: „zabierać z sobą po 20 kg rzeczy, wyjeżdżacie”, oczywiście nie podając, dokąd. Mój ojciec doskonale orientował się w sytuacji i powiedział do mamy, pakuj wszystko co się da, wywożą nas za Ural. Dowodzący oficer zaprotestował, mówiąc: „na jaki Ural, jedzcie do Germanii”. Oczywiście rodzice nie uwierzyli. Piękne i wzruszające było pożegnanie z byłymi pracownikami, był też przewodniczący wiejskiej rady, bo jego obecność była obowiązkowa przy deportacjach. Ze łzami w oczach wręczył ojcu worek mąki, a jego żona ze spuszczoną głową, płacząc, szła za wozem odprowadzając nas poza wieś. Nad ranem dotarliśmy do miejscowości Sambor, obecnie w obwodzie lwowskim.

## 2. Podróż

Kazano nam wsiadać do towarowych wagonów, jeszcze polskich kolei i co chwilę doładowywano następne osoby, między innymi rodzinę państwa Sowków, którą stanowiła matka z dwoma synami, tuż po maturze. Oni także pochodzili ze Śląska i tak jak my przebywali na urlopie u swojej rodziny. W tych wagonach jechaliśmy trzy dni. Po przekroczeniu dawnej granicy polsko-radzieckiej za miejscowością Sarny, kazano nam opuścić dotychczasowy wagon i wsiąść do radzieckiego. Nagle, ni stąd ni zowąd pojawili się ludzie z kotłami zupy. Panie, ładnie ubrane na białą, z chochlami, talerzami, częstowały wszystkich, którzy byli w tym transporcie zupą. Cała ta akcja karmienia nas była filmowana. Po wielu latach dowiedziałem się, że była to tzw. agitka, Rosjanie wywożąc Polaków na Syberię tłumaczyli całemu światu, że pomagali Polakom emigrującym zarobkowo za chlebem. Po posiłku rozpoczęła się podróż w nieznaną, po szerokich torach. Straż pilnująca nas zachowywała się różnie, tylko raz trafiliśmy na bardzo kulturalny konwój NKWD, tylko raz. Pamiętam też, że przed Uralem, zmienił się konwój i weszli jacyś straszni lu-

dzie, zaczęło się bicie, poniżanie, wrzaski, krzyki, ale gdy przekroczyliśmy Ural nastąpiła zmiana. Nowi ludzie z konwoju mimo, że także byli z NKWD wykonywali swe obowiązki bez stosowania przemocy i znęcania się. W trakcie transportu żołnierze nie sprawdzali naszej obecności. Czasami gdy zdarzyło się tak, że osoba z transportu nie zdążyła dobiec do pociągu to NKWD wsadzało go do innego, nawet pasażerskiego i dołączało do pierwotnego bo składał się głównie z lewicujących Żydów. Polaków lub katolików jak nas określano było około 40 osób. Mimo różnic wyznaniowych tworzyliśmy jedną rodzinę, wspólnotę, nie było między nami żadnych tarć. Jedzenie otrzymywaliśmy jeden raz dziennie, czasami na skutek bałaganu i złej organizacji zdarzało się, że posiłek dostaliśmy po południu a następny w tym samym dniu, ale w godzinach wieczornych, by przez kolejne dwa dni nie otrzymać nic. Ratowaliśmy się przed głodem korzystając z zabranych zapasów żywności. Sami też przygotowywaliśmy posiłki np. smażyliśmy naleśniki wykorzystując do tego celu zabrane z domów naczynia, garnki i świeczki.

Dojechaliśmy do miasta Irkuck. Po posiłku, nastąpił zbiorowy wymarsz do odwszawiania, minęło bowiem 13-14 dni podróży bez mycia, można sobie zatem wyobrazić ile tych pasożytów każdy z nas miał. Zaprowadzono nas do łaźni mieszczącej się w budynku dawnej cerkwi. Wyłożona była marmurowymi płytami i kaflami, a do ścian zainstalowane były prymitywne prysznice. Gdy my zażywaliśmy kąpieli, nasze ubrania na specjalnych wieszakach wprowadzone zostały do komory, w której znajdowała się para. Po takiej parówce żaden insekt nie miał prawa żyć. Po powrocie do wagonów kolejny rozkaz: zabierać swoje rzeczy i marsz nad Angarę. Tam czekały na nas barki. Jedna z nich była bardzo duża, pierwszy raz widziałem takiego olbrzyma, potężny *parachod*. Przed wejściem na pokład enkawudzista pytał o numer wagonu, którym przyjechaliśmy i na podstawie odpowiedzi wskazywał miejsce na barce. Po rozłokowaniu nas, przyplłynął holownik i rozpoczęła się podróż w górę rzeki. Nie odczuwaliśmy głodu, bo otrzymaliśmy spore zapasy chleba, konserw mięsnych i rybnych. Wolno nam było wychodzić na pokład, nikt nas nie liczył, nie prowadził codziennej ewidencji, ale enkawudziści, czyli anioły stróże byli zawsze. Funkcjonariusze zachowywali się porządnie, z dorosłymi palili papierosy (mój ojciec wtedy zaczął palić) i toczyli wspólne rozmowy. Tak minęły trzy dni i dopłynęliśmy do miejscowości Zajarsk nad Angarą. Zabraliśmy swój dobytek i pod opieką NKWD przeszliśmy, nam się wydawało, że na stadion, a to był plac otoczony potężnym płotem z desek, na około trzy metry wysokim. Były w nim pewne udogodnienia np. sanitariaty, kuchnie. Rosjanki ciągle paliły pod kuchnią i dbały, aby stale był *kipiatok*. Rozłożyliśmy swoje rzeczy i na nich spędziliśmy noc. Oddział NKWD pilnował nas, nie w obawie przed ucieczką, bo nie było takiej możliwości, ale przed miejscowymi złodziejami, aby nas nie okradziono. Dowiedziałem się wówczas, że był to tzw. izolator i służył jako miejsce postojowe dla transportowanych więźniów. Przypuszczam, że aby nas umieścić, sowieckich więźniów wpędzono do tajgi gdzie pilnowali ich żołnierze NKWD ich pilnowali.

Po dwóch dniach pobytu w tym izolatorze, pojawiły się ciężarowe samochody, gaziki ZIS 105 i kazano się nam szykować do kolejnej podróży. Przed wyjazdem zjedliśmy zupę rybną, czyli uchę i samochodami przejechaliśmy około 360 km, czyli odległość między rzeką Angarą a rzeką Leną. Zis miał 1,5 tony udźwigu, a ponieważ zabierał ludzi z rzeczami, mieściło się na nim nie

więcej niż 15-18 osób. Nasz ojciec już nie zabrał się z nami i jechał w innym gaziku. Po drodze zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie, pamiętam, że miałem trochę drobnych pieniędzy i kupiłem od przekupki jagody. Dojechaliśmy do miejscowości Ust-Kut, obecnie tam zaczyna się lewa odnoga kolei transsyberyjskiej. Obóz dla nas był przygotowany w tajdze. Wykarczowano część terenu, i pomiędzy drzewami rozstawione były wielkie namioty z pościelowego płótna, postawione przypuszczalnie przez więźniów, a może przez najętych ludzi. Namiotów mogło być 40-50 sztuk. Transport nasz liczył około 1300 ludzi. Bez większych trudności każdy z nas znalazł miejsce do zamieszkania. Namioty zajmowane były bez żadnych wskazań, wchodziliśmy tak jak chcieliśmy, bez żadnej segregacji. Pamiętam, że razem z nami w tym samym namiocie byli wspomniani już Sowkowie. W tym obozowisku mieszkaliśmy około dwa tygodnie. Kuchnia obsługiwana była przez Rosjan, karmiono nas całkiem porządnie, podstawą była kasza perłowa lub gryczana z naprawdę dużymi kawałami słoniny. Wodę bez ograniczeń pobieraliśmy z Leny. Posiłki były pożywne, na mięsie, na rybach, na konserwach. Nie odczuwaliśmy głodu, być może ze względu na lewicujących Izraelitów hołubiono nasz transport. Ten osiadły etap naszej podróży pozwalał nam na wędrowki do tajgi, nad rzekę, do pobliskiej miejscowości. Wypadki do tajgi szybko przestały być atrakcją a to za przyczyną komarów i meszek. Takie „miliardy” paskudnych owadów całymi stadami siadają na człowieku, znajdują każdy, najmniejszy nawet skrawek odsłoniętego ciała. Wystarczyło wtedy tylko pociągnąć ręką np. po odkrytym przedramieniu, a dłoń stawała się czerwona od krwi. Każda Rosjanka, która szła na jagody, w rękę lub na plecach miała kubek wypełniony jakimś materiałem palnym, który kopcząc się odstraszał tych krwiopijców. Ojciec często chodził do miasta Ust-Kut, zaprzyjaźnił się tam z dwiema Rosjankami, lekarkami, które opiekowały się naszym transportem. Były one dla mnie bardzo miłe, głaskały po głowie, czasami dokarmiły jakimiś słodkościami, bo przecież jeszcze byłem *malczik*. Chciały, aby ojciec został w mieście i im pomagał w pracy, ale ich starania nie przyniosły rezultatu, bo nie miały wpływu na odgórne decyzje. Z naszego transportu nie było ucieczek, po pierwsze, nie było szans na samodzielne przeżycie w nieprzyjaznej okolicy i surowym klimacie Syberii, a po drugie chyba ze względów ideologicznych.

Po tych dwóch tygodniach przyplęły po nas trzy potężne barki, zaczepiono je do holownika Mołotow, ale ponieważ nie wszyscy się zmieścili czekano na kolejne barki i na drugi holownik. Barka to rodzaj statku używanego w żegludze śródlądowej, który nie posiada własnego napędu. Może poruszać się tylko z prądem rzeki lub być holowana pod prąd przez ludzi (burłacy), zwierzęta pociągowe np. konie idące brzegiem rzeki lub przez holowniki. Płynęliśmy w dół rzeki Leny. Po jakimś czasie, nie potrafię tego określić, dopłynęliśmy do miejscowości Jakuck, stolicy Republiki Sacha, czyli Autonomicznej Republiki Jakucji. W Jakucku nie zatrzymaliśmy się w porcie pasażerskim, ale nieco poza miastem. Podjechały samochody ciężarowe i po trapie z desek przetransportowano żywność, głównie chleb i konserwy. Załadunek trwał około trzy, cztery godziny, w tym czasie ojciec korzystając z wolnego czasu i wykorzystując znajomość języka wybrał się do miasta. Tam po raz pierwszy nawiązał kontakt z rodziną wysyłając list do ciotki w Rzeszowie. W międzyczasie zaopatrzył się także w paliwo, którym był węgiel. Dalej znów płynęliśmy

Lena, po kilku dniach holownik wpłynął w rzekę Ałdan znajdującą się około 190 km za Jakuckiem. Ałdan w większości swojego biegu ma charakter rzeki górskiej. Płynąc minęliśmy miejscowość Chandygę. To miejsce, jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, to był początek tzw. „drogi śmierci” zwanej także „drogą z kości” wiodącej na Kołymę. Przy budowie traktu kołymskiego zginęło tysiące ludzi w tym ogromna liczba Polaków. Dopłynęliśmy do miejsca, w którym holownik nie był w stanie dalej ciągnąć naszych trzech barek po dużych górskich bystrzynach. Zostawił więc naszą barcę, a z dwoma popłynął dalej w górę rzeki. Zakotwiczyliśmy i wolny czas przeznaczaliśmy na plażowanie nad Ałdanem. Otaczała nas niezniszczona, wspaniała przyroda. Jedyne minusem były meszki i komary. W czystej, krystalicznej wodzie razem z ojcem łowiłem ryby. Nikt nie miał haczyków, ale dzięki pomysłowości ojca, mieliśmy je zrobione z agrafki. I na to się ryby łąpały. Po trzech dniach skończył się czas odpoczynku, holownik wrócił po nas i dopłynęliśmy do miejscowości Ałachjuń. Po zacumowaniu enkawudziści zaczęli wyczytywać nazwiska, okazało się, że na łódź zeszyły tylko rodziny z dziećmi, ludzie chorzy oraz starzy. Małżeństwa bezdzietne, kawalerowie, panny, czyli osoby młode popłynęły dalej, jak się później okazało do miejscowości Ust-Maja, ale warunki ich życia były zdecydowanie gorsze od naszych. Dla nas, rozstawione były namioty. Posiłki były podobnie przygotowane jak w poprzednim miejscu postojowym, składały się one z kaszy i dużych kawałków i słoniny. Rosjanki gotowały nam tylko obiady, a na śniadania i kolacje dostawaliśmy chleb i konserwy. Wkrótce okazało się, że do miejscowości, do której jesteśmy przeznaczeni o nazwie Minor, w której znajdowała się odkrywkowa kopalnia złota, mamy przejść około 380-400 km pieszo, razem z naszymi rzeczami. Było to równoznaczne ze śmiercią, co najmniej połowy deportowanych. Droga w tajdze syberyjskiej to bagnisty i błotnisty trakt powstały po wyrębie lasu, pełen kolein różnej głębokości wypełnionych wodą. Błoto różnej konsystencji, raz rzadkie, innym gęste niczym wysoko procentowa śmietana sięgające od kostek aż pod kolana, przyklepiało się trwale do ciała oblepiając je. Po deszczu ta maź była praktycznie nie do pokonania. A my mieliśmy po takiej drodze nieść ze sobą bagaże i dzieci przez kilkaset kilometrów. Enkawudziści nie zważając na nasze głosy niedowierzania, że mamy przedzierać się przez te błota, podzielili nas na 2 grupy po około 500 osób i kazali wymaszerować. I wtedy zawiązał się „komitet protestacyjny” składający się z Żydów, którzy nie krępowali się swoich lewicujących przekonań, a wręcz przeciwnie, na każdym kroku podkreślali je. Odmówili wymarszu i jeszcze tego samego dnia wysłali telegram do szefa NKWD w Moskwie Ławrentyja Berii. Co w nim było dokładnie, nie wiem, ale z pewnością nakreśli swoje położenie i poprosili o pomoc. Przez ten czas strajku, my dzieciaki bawiliśmy się, chodziliśmy łowić ryby. W naszych zabawach nie uczestniczyły tylko żydowskie dziewczynki. I oto pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że przypłyną po nas łodzie. Rzeczywiście, pojawiły się wielkie, o pojemności 5-6 ton wyporności, zaprzężone w 2 konie a trzeci biegał swobodnie jako luzak. Część zesłańców z niedowierzaniem przyjmuje moją relację, bo stosowaną odpowiedzią strażników pilnujących zesłańców na jakikolwiek przejaw sprzeciwu wobec dowódcy było rozstrzelanie osób protestujących. Ale pamiętać należy, że Stalin w 1934 r. stworzył Żydowski Obwód Autonomiczny na rzekę Amur tuż przy granicy z Chinami.

Załadowaliśmy więc nasze bagaże na łódzie i spokojnie przemieszczaliśmy się dalej do miejsca przeznaczenia. Jedynym kłopotem, z którym nie potrafiliśmy sobie poradzić na tym etapie wędrówki, było złe samopoczucie mamy. Od dłuższego czasu była blada, często się męczyła, miała trudności ze snem. Pojawiła się gorączka i konieczne stało się jej przeniesienie na łódź, w której przebywały osoby chore – była to *bolnica*. Jak się później okazało, te objawy to były pierwsze zwiastuny gruźlicy. Łodzie zatrzymywały się na obiad i na kamieniach pitrasiliśmy zupy. Pamiętam, że każdy z nas otrzymał po 28 konserw (rybnych i mięsnych) na osobę, bo na tyle dni przewidziany był transport. Żydzi wymieniali się z nami konserwami, za rybą wytargowaliśmy po dwie mięsne. Gdy zapadał zmierzch zatrzymywaliśmy się na dłużej, na nocny postój. Najczęściej spaliśmy pod gołym niebem, a namioty rozkładaliśmy tylko wtedy, gdy padał ulewny deszcz. Noce były cudowne, nad głowami rozpościerało się niebo pokryte gęsto gwiazdami, towarzyszyło nam rześkie powietrze oraz śpiew ptaków. Ich śpiewem można się było zachwycać całą noc. Nadchodził świt a ptasie trele nadal trwały. Wprawne ucho mogło bez trudu rozróżnić różne dźwięki. Ja niestety do tych osób nie należałem. Dla mnie już prawie 10 letniego chłopca to były wspaniałe przeżycia. Rosjanie pracujący na łódkach, to byli młodzi ludzie, wieczorem rozpalali ognisko, grali na harmonii, śpiewali i oczywiście raczyli się alkoholem. Ich gry i śpiewu mogłem słuchać godzinami. A gdy jeszcze zaczęli z fantazją wykonywać przysiady i podskoki, przez moment zapominało się o trudnym losie tułacza. Po nocy nastawał świt – czar przyskał. Przy stromych brzegach, kiedy konie nie mogły ciągnąć barek, wyprzęgano je, siodła i cały ekwipunek wrzucano do łódki. Łodzią przepływaliśmy na drugą stronę rzeki o łagodniejszym brzegu i furmani ponownie zaprzęgali konie, a łódzie płynęły dalej. Zgodnie z przewidywaniami, po 28 dniach dotarliśmy do miejscowości *Gwiazdeczka*. Wypakowaliśmy swoje bagaże i po serdecznym pożegnaniu z załogą, która zaraz odpłynęła, odbyło się spotkanie z naczelnikiem NKWD lejtnantem Miroszniczenko. Przywitał nas słowami: *Żyt budietie, prywyknietie, kak nie prywyknietie, padochnitie* i zakomunikował, że przed nami jest jeszcze jeden odcinek drogi do pokonania pieszo. Należało przejść 12 km przełęcz od rzeki Ałach-juń do miejscowości Minor, która była naszym punktem docelowym. W Minorze znajdowała się kopalnia złota i mieliśmy w niej pracować. Aby przyspieszyć dotarcie do kopalni do dyspozycji otrzymaliśmy wóz zaprzęgnięty w trzy konie. W pierwszej kolejności przewoził osoby chore i małe dzieci. Transport wszystkich bagaży zakończył się po tygodniu.

### 3. Minor

Trafiliśmy szczęśliwie, boską ręką chronieni. Okazało się, że kopalnia nie przynosiła zysku, była nieopłacalna, dlatego w innym miejscu założono kolejną odkrywkę i tam przeniesiono pracowników, a po nich pozostały domy, w których mieliśmy zamieszkać. I to było nasze szczęście, bo kiedy przyszła zima i mróz do minus 50° C, nie wyobrażam sobie jak moglibyśmy przeżyć w namiotach lub na szybko skleconych szałasach z drewna.

Weszliśmy do takiego typowego domu zbudowanego z grubych drewnianych bali, a tam tylko cztery ściany i nic więcej. Zaraz następnego dnia z dużej beczki po paliwie przeciętej na pół zrobiliśmy piec i zakończyliśmy go rurą, która zabezpieczona blachą wychodziła na zewnątrz przez dach. Razem z nami

zamieszkała rodzina żydowska – małżeństwo z dwójką dorosłych dzieci, a później na krótko dokwaterowano jeszcze kilka starszych osób. Dogadywaliśmy się bez problemu i mimo trudnych warunków lokalowych żyliśmy zgodnie. Żydzi ze sobą nie zawsze mogli się pogodzić, czasami dochodziło między nimi do konfliktów.

Dano nam trzy dni wolnego na zagospodarowanie. Najbliższa miejscowość, ta o wdzięcznej nazwie – Gwiazdeczka znajdowała się w odległości ok. 12 km, a do powiatowego miasta było 120 km. W Gwiazdeczce ojciec wysłał kolejny telegram do siostry, tym razem oprócz informacji o nas, prosił o pomoc finansową w kwocie 1000 rubli. Niestety pieniądze nigdy do nas nie dotarły. Mama była coraz słabsza, zaczął pojawiać się kaszel, zdrowie nie pozwalało jej na pracę, zostawała więc z nami, a pracował tylko ojciec.

Złoto było surowcem strategicznym, Rosjanie robili wszystko, aby zwiększyć wydajność kopalń, dlatego do pracy w kopalniach zsyłani byli głównie ludzie młodzi i zdrowi. Każda z kopalń była przedsiębiorstwem samowystarczalnym. Miała swoje zapasy żywności, warsztaty naprawcze, mieszkania i wszystko to, co potrzebne do życia. Rosjanie zaopatrywali kopalnie złota bardzo dobrze we wszystkie produkty dlatego nie cierpieliśmy głodu i to było kolejne szczęście.

Do kopalni złota, było 5 km. Ojciec dostał taczkę, łopatę, kilof czyli podstawowe narzędzia i dołączył do wszystkich pracujących. Brygada kopała ziemię łopatami i po desce na taczkach wywoziła urobek do wyznaczonego punktu. W nim znajdował się gumowy transporter, który prznosił ziemię do spłuczki. Spłuczka była wielka, około 20 metrowa skrzynia z drgającymi metalowymi sitami. Pozwalało to na zatrzymywanie kamieni o różnych rozmiarach na sitach, aż do piasku, czyli bardzo drobnej frakcji urobku. Czyste złoto wypłukiwało się z piasku. Praca w kopalni trwała do pierwszych mrozów, zimą ze względu na wieczną zmarzlinę nie było możliwości kopania ziemi. Gdy kopalnia nie pracowała, ojciec pracował przy wyrębie lasu, w zaopatrzeniu i wykonywał inne drobne prace np. dorabiał jako krawiec. Podstaw krawiectwa nauczył się jeszcze podczas służby wojskowej. Jako podoficer, zobowiązany był w ramach pułku sprawować różne funkcje, był dowódcą np. drużyny amunicyjnej musiał zatem dbać o pociski i znać się na nich. Gdy został przeniesiony na podoficera gospodarczego podlegali mu krawcy, szewcy, cholewkarze, kucharze itp.

Po krótkim okresie pobytu w osadzie, zaczął się dla mnie okres nauki w szkole, którą Rosjanie utworzyli dla około 40 osób. Gdy przyjechaliśmy do Minor, już dobrze umiałem porozumiewać się po rosyjsku, a w szkole uczyliśmy się czytać, pisać i liczyć, dlatego nie miałem żadnych kłopotów z otrzymywaniem dobrych ocen. Nauczycielkami były Rosjanki, które mieszkały w osiedlu administracyjnym. Rosjanie mieszkali w zupełnie innych warunkach, mieli np. swoje kino, teatr. Z czasów szkolnych pamiętam doskonale komunistyczne pozdrowienie wygłaszane na początku lekcji: *Bud' gatow, wsiegda gatow lub Towarzyszu Stalin dziękujemy ci za nasze szczęśliwe dzieciństwo.*

Przez cały czas pobytu byliśmy nadzorowani, wodzem był komendant Miroszniczenko, zastępcą Fomin, a do dyspozycji mieli jeszcze kilkunastu żołnierzy. Ich praca polegała na okresowym przeprowadzaniu patroli na naszym osiedlu, ale nie trzeba było nas pilnować, bo jak uciekać, jeżeli do dużego miasteczka powiatowego czekała przeprawa przez tajgę. A poza tym, nie było żad-



nej potrzeby uciekania. Mieliliśmy zapowiedziane przez lejtnanta, że nigdy stąd nie wyjedziemy. Jedni przyjęli tą wiadomość spokojnie, inni byli bardzo niezadowoleni, a dla części osób nie miało to żadnego znaczenia, przygotowani byli, że zostaną tu na zawsze.

Wkrótce ja także zacząłem pracować zarobkowo, moja praca przypadła w soboty, czyli w dzień szabasu, kiedy Żydzi obchodzili swoje święto. Bolszewicy pozwolił im na praktyki religijne, w zamian Żydzi pracowali w niedzielę. Od piątku po południu do soboty wieczorem wyznawców judaizmu obowiązuje całkowity zakaz pracy. W tym dniu nie tylko, że nie pracowali, ale, zgodnie z prawem religijnym nie mogli rozpalać ognia, a jak świętować, gdy temperatura powietrza – 40 °C? Na czym polegała moja praca? Otóż chodziłem od domu do domu i za 5 rubli zajmowałem się paleniem w piecach. Pieniądze zaczęły nam być bardzo potrzebne, bo stan zdrowia mamy się pogarszał, a przecież musiała się dobrze odżywiać. Pamiętam, że kilogram słoniny kosztował 50 rubli.

Wiosną, gdy ruszyła odkrywka, wszyscy dorośli wrócili do pracy w kopalni. Także zmieniłem pracę, ale nie zajmowałem się wydobywaniem złota. Przejąłem obowiązki Rosjanki związane z zapewnieniem stałej obecności gorącej wody w pomieszczeniu kuchennym. Brygady pracujące w terenie (elektrycy, mechanicy, brygady pomocnicze) po powrocie do baraków potrzebowały gorącego napoju, czajnik z wrzątkiem musiał stać na piecu. W zamian dostawałem dniówkę, czyli 20 rubli i 800 g chleba.

W czerwcu 1941 roku Niemcy zaatakowali ZSRR. Jak to pamięta mój ojciec, lejtnant Miroszniczenko zwołał spotkanie na którym stawilo się około 300 osób i zakomunikował, że rozpoczęła się wojna. (Zapomniał, że II wojna światowa rozpoczęła się 1 września 1939 r.). W trakcie przemowy zwrócił się do zgromadzonych słowami: *Bracia Słowianie, Żydzi stojący tuż obok ojca skomentowali to w ten sposób: Jacy my jesteśmy dla ciebie Słowianie.* Za dwa dni byliśmy wolni. Wolność ta polegała na tym, że nie było lejtnanta i nie byliśmy pilnowani przez NKWD. Ale w związku z toczącą się wojną zaczęło się dla nas racjonowanie pożywienia. Jeszcze dla osób pracujących w kopalni nie było ono tak dotkliwe, ponieważ normy zaopatrzenia chleba, mąki i cukru były jeszcze w granicach zdrowego rozsądku np. górnik dostawał 800 g chleba, urzędnik, nauczyciel, pracownik administracyjny 600 g, dzieci po 400 g, a niepracujące osoby po 200 g, ale takich prawie nie było. Chleb w sklepie można było wymienić na mąkę, więc każdy w zależności od swojej inwencji jakoś sobie radził.

29 września 1940 r. w wieku 33 lat odeszła od nas mama. Dotknęła nas wielka tragedia, której nie będę nawet próbować opisywać. Nikt z rodziny nie był obecny podczas jej odchodzenia, bo pracowaliśmy. Ojciec był w szpitalu poprzedniego dnia, ale nic nie wskazywało, że stan zdrowia się nagle załamał. Prosto ze szpitala ciało mamy zostało zabrane do domu. Pamiętam, że myciem, ubieraniem zajmowały się dwie panie, pani Hawelińska i jej córka Krysią. W pobliżu naszej osady nie było żadnej cerkwi, pochowaliśmy mamę na cmentarzu w Minorze. Był on już sporych rozmiarów, bo w naszej grupie zesłańców były rodziny z dziećmi i osoby starsze, które w naturalny sposób umierały. Żydzi chowali umarłych na cmentarzu z rabinem, dla nas nie było obrządku katolickiego, ale mamę pochowano z krzyżem, który niósł pan Józwa. Minor było osiedlem kopalnianym, komunistycznym, a mimo to Rosjanie, którzy nas mijali, zdejmowali nakrycia z głów. Zgodnie z katolicką tradycją, 1 listopada poszliśmy na grób mamy. Było około 15,00, robiło się już ciemno, a gdy zapaliliśmy świece pojawi-

li się Rosjanie, bo nie wiedzieli, co się dzieje. Ojciec odpowiedział, że *eta mogiłki* i oni odeszli, szanując nasz ból. Niestety, po opuszczeniu Syberii nie udało mi się odwiedzić grobu matki, a tak bardzo chciałbym zapalić świeczkę i pomodlić się właśnie tam, nad miejscem jej pochówku.

Po okresie żałoby, ojciec ożenił się ponownie – z Rozalią, była Polką, pochodziła spod Krakowa, przybyła do Minoru transportem z bogatymi Żydami. Zналиśmy Rózię, bo mama przyjaźniła się z nią i bywała u nas w domu bardzo często. Przez długi czas zwracałem się do swojej macochy po imieniu.

Rok 1941 był ostatnim rokiem eksploatacji kopalni złota. Rosjanie zamknęli kopalnię. Po podpisaniu układu zwanego potocznie Sikorki – Majski na mocy „amnestii” pozwolono obywatelom polskim przebywającym na zesłaniu poruszać się, podróżować, wyjeżdżać. Dla nas ta wolność możliwa była jedynie w granicach Republiki Sacha. W 1942 r. wyjechaliśmy z innymi osobami, w tym Żydami do Jakucka.

#### 4. Jakuck

W pierwszych dniach po przyjeździe zamieszkaliśmy wspólnie z innymi zesłańcami, ale ojciec chodził po Jakucku i szukał mieszkania. Znalazł go u Polaka skazanego jeszcze za czasów caratu za czyn kryminalny. Właściciel trzy pokojowego domu wynajął ojcu duży pokój ze wspólną kuchnią, drugi pokój zajmował on, a trzeci bardzo sympatyczne, młode Rosjanki pracujące w fabryce pierników.

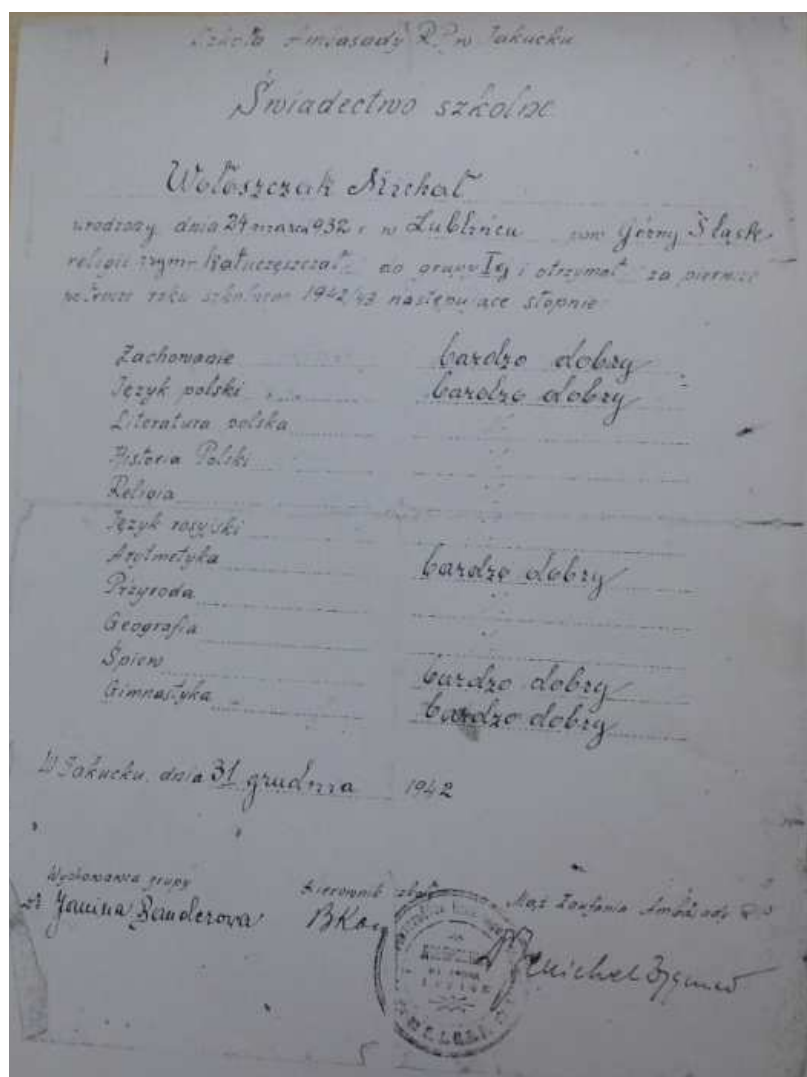
W Jakucji nie czuliśmy się już tak bardzo zniewoleni. To była zupełnie inna republika, inni ludzie, atmosfera. Warunki do życia ze względu na klimat były bardzo niesprzyjające. Mówiąc, że zimy były i są nadal bardzo srogie, z pewnością nie myślimy o temperaturach w granicach minus 30-50 °C, o powietrzu utrudniającym oddychaniu i odmrożeniach. A mimo to Jakucja promieniowała mądrością, toczyło się życie kulturalne, odbywały się spektakle teatralne. Bardzo szybko zorganizowała się Polonia. Żydzi jako świetni organizatorzy zajęli się uruchomieniem dla dzieci przedszkola i szkoły, a także porozumieli się z Rosjanami w sprawie amerykańskich dostaw żywności, dzięki którym głód nam nie doskwierał.

Po krótkim okresie aklimatyzacji zacząłem uczęszczać do szkoły polskiej, przy polskiej ambasadzie. Z dumą powtarzam, że obecnie jestem jedynym człowiekiem, który posiada w Polsce świadectwo ukończenia Szkoły Ambasady Rzeczypospolitej w Jakucku.

Z dzieci wieku szkolnym utworzono 4 grupy uczniów, łącznie do szkoły uczęszczało nas około 80. Byłem jednym z najlepszych uczniów, osiągałem bardzo dobre oceny ze wszystkich przedmiotów nauczania za wyjątkiem matematyki. Przedmiot ten sprawiał mi ogromne trudności, a ponadto nie potrafiłem i nie lubiłem się go uczyć.

Zakończenie zajęć w szkole wiązało się z czasem wspólnych zabaw. Razem z kolegami Rosjanami, Żydami i Jakutami chodziliśmy na sanki, narty, latem biegaliśmy i wymyślali mnóstwo zabaw, tym bardziej, że miasto było rozległe i malownicze. Mieliliśmy bardzo dużo ciekawych pomysłów, czasami towarzyszyły im większe lub mniejsze kłótnie z różnorodną ilością bójek. Rówieśnicy wiedzieli, że ze mną nie ma co się handryczyć i wszczynać zatargów. Z tej opinii korzystał nawet mój młodszy brat – przedszkolak. W tamtym okresie byłem takim trochę łobuziakiem i nie dawałem sobie „napłuć w kaszę”.

Działania wojenne wymagały stałego napływu żołnierzy na front. Pobór do wojska nie ominął również mieszkańców Jakucji. Gdy zabrakło fachowców, miasto gospodarczo zaczęło podupadać. W takiej sytuacji ojciec bez trudu znalazł pracę. Został kierownikiem dużego warsztatu krawieckiego, w którym pracowały głównie kobiety. Nie bardzo znał szczegóły zawodu, ale szybko poznał jego tajniki. Było to tym łatwiejsze, że głównym asortymentem były mundury dla wojska.



Świadectwo szkolne Ambasady RP w Jakucku

Więść o tym, że podpisano umowę wojskową, na mocy której, gen. Anders tworzył Armię Polską w ZSRR szybko docierała do Polaków przebywających w łagrach lub na zesłaniu. Wśród chętnych, znaleźli się bracia Sowkowie mieszkający kilka kilometrów od Jakucji. Z utęsknieniem czekali na zgodę

na wyjazd, tym bardziej, że nic ich nie trzymało w republice Sacha, bo jedyna bliska im osoba, czyli matka zmarła. Niestety, odpowiedź dla nich była odmowna *niezła*. Inni Polacy również nie otrzymali zgody. Dopiero później, gdy tworzyła się armia Berlinga, można się było zaciągnąć. Zgłosiło się 4 Polaków, w tym bracia Sowkowie i udało im się wyjechać.

Trudności finansowe naszego właściciela domu spowodowały, że musieliśmy szukać innego lokum. Nie było łatwo, tym bardziej, że na świat przyszedł mój drugi braciszek – Marcin. Zamieszkaliśmy w gorszych warunkach, były to drewniane baraki i w nich mieszkaliśmy do 1944 r. W międzyczasie ojciec zmienił pracę, zarobki były znacząco wyższe niż w zakładzie krawieckim. Zaczął pracować na holowniku „Pierwsza Pięciolatka”, a ja wraz z nim. Latem pływaliśmy na odcinku Jakuck – Chandyga.

Lena uchodzi do Morza Łaptiewów około 150 odnogami, nad jedną z nich, nad zatoką Tiksi znajdowało się miasteczko o tej samej nazwie. Rzadko mówi się o znaczeniu Tiksi i Leny, a była to jedna z dróg transportu pomocy *Lend-Leas*, udzielonej Stalinowi przez Amerykanów. W ramach tej pomocy przekazywana była głównie żywność, a także samochody terenowe, ciężarówki, wagony kolejowe, materiały wybuchowe. Amerykańskie towary transportowano z Alaski do ujścia rzeki Leny, bo Rosjanie nie byli w stanie wojny z Japonią. Japończycy nie topili statków rosyjskich, które z Władywostoku płynęły ku brzegom Alaski, brały towar i transportowały do Tiksi. Ze względu na duże wahania poziomu wody na Lenie w okresie letnim, czekano aż rzeka zamarznie, a gdy to się stało, była wspaniałą autostradą. Takimi „zimnikami” tysiące „sztudybakierów” w dzień i w nocy przewoziło towary z Tiksi do Irkucka, a z Irkucka koleją na front. Studebakery to były ciężarowe samochody produkowane na potrzeby wojsk alianckich. Po zakończeniu wojny część z tych samochodów przekazana została na wyposażenie polskiemu wojsku.

I tak na nauce i pracy mijały dni, miesiące, żyliśmy spokojnie, nie cierpiąc głodu, prześladowania, poniżania i upokarzania, aż do lata 1944 r., kiedy to zapadła decyzja NKWD o przesiedleniu naszego transportu do Republiki Niemców Nadwołżańskich.

### **5. Niemiecka Nadwołżańska Autonomiczna Republika Radziecka**

Tereny na które mieliśmy wyjechać, zajmowane były od XVIII przez osadników z Niemiec, którzy rozpoczęli ich zagospodarowywanie po zaproszeniu carycy Katarzyny II. Stolicą Niemieckiej Nadwołżańskiej Autonomicznej Republiki utworzonej po rewolucji październikowej było miasto Engels. Po ataku Niemców na ZSRR, Stalin potraktował osadników jako potencjalnych wrogów i w obawie przed aktami sabotażu na mocy wydanego dekretu o wygnaniu zostali oni zesłani głównie na Syberię i do Kazachstanu, a wyludnione osady były zapełniane przesiedleńcami innych narodowości.

W sierpniu 1944 r. zgodnie z poleceniem władz NKWD spakowaliśmy posiadany dobytek i pojechaliśmy do portu handlowego *Darki-tach*. Pamiętam, że pierwszą z czynności podjętych wobec nas, było szczepienie przeciwko tyfusowi. Po dniu oczekiwania przyplłynął luksusowy, pasażerski statek *Moskwa*. W dwuosobowych kajutach przebywało po 8 osób. Jako dzieci nie odczuwaliśmy ciasnoty w kajucie, bo całe dni upływały nam na zabawach i bieganiu po

statku. Z ogromną przyjemnością i dziecięcą fantazją uwielbialiśmy dokuczać naszemu kapitanowi, szczególnie wtedy, gdy udało mu się zasnąć. W porcie Ust-Kut przesiadliśmy się na inny statek i wkrótce zaczęliśmy płynąć Angarą. Angara to jedyna rzeka, wypływająca z wielkiego zbiornika słodkiej wody jakim jest jezioro Bajkał. W trakcie tej podróży, w pewnym momencie statek przestał płynąć, a przyczyną przymusowego postoju okazał się być brak paliwa. Ta podróż obfitowała również w inne wydarzenia, np. uratowałem swojego braciszka, który wpadł do wody i niechybnie by się utopił, gdybym go z niej nie wyciągnął. Wspólnie z kolegami 16-18 latkami nie daliśmy się Rosjanom okraść. Na wieść o planach obrabowania nas, przybiliśmy do brzegu, rozpalili ognisko i zaopatrzeni w kije odparliśmy atak złodziei.

Po zacumowaniu statku, na lądzie czekały już na nas Studebakery. Ponownie przeładowaliśmy swoje bagaże i po około 13-16 godzinach jazdy dojechaliśmy do Zajarska, miejscowości oddalonej od Moskwy o około 800 km. Tam przez kilka dni mieszkaliśmy w prywatnych domach po czym przetransportowano nas do Makarowa i rozlokowano w koszarach. Postój trwał około dwa tygodnie. W tym okresie oczekiwania na przyjazd pociągu zdani byliśmy na siebie i musieliśmy zadbać o prowiant. Pociągiem dotarliśmy do miasta Engels, a tam zaczęli po nas przyjeżdżać „kupcy”, czyli dyrektorzy sowchozów i oferując lepsze lub gorsze warunki namawiali do osiedlenia w zarządzanym przez siebie gospodarstwie. Ojca, rodzinę Hawelińskich i kilka jeszcze innych osób zwerbował do sowchozu Gorski, powiat pierwomajskoje, woj. Saratowskie, dyrektor Pawłow.

Pawłow, był pilotem wojskowym. Na froncie został ranny i po powrocie do zdrowia nie wrócił w szeregi Armii Czerwonej, ale został mianowany dyrektorem sowchozu. Oczywiście nie miał żadnego pojęcia o prowadzeniu i zarządzaniu Państwowym Gospodarstwem Rolnym. Po naszym przyjeździe długo rozmawiał z ojcem. Jej efektem było mianowanie ojca na *zawchoza*, czyli pracownika gospodarczego, w znacznej mierze zarządzającego gospodarstwem. Ojciec jako przedwojenny współwłaściciel majątku w Myślatyczach i znający się na gospodarowaniu dbał o wszystko; by nie padła żadna krowa, żaden koń, co się zdarzało w sąsiednich sowchozach, by nie płacić kar za opóźnienia i niedociągnięcia itp. Unowocześniał metody pracy, wprowadzał zmiany np. w sposobie karmienia krów. Na każdą krowę przewidziana była określona ilość mąki, jeśli dobrze pamiętam to około 300 g. Rosjanki wysypywały ją do żłobu. Można bez trudu zauważyć, że ilość karmy dostarczanej w ten sposób nie zaspokajała potrzeb zwierzęcia, bo pozostawała na brzegach koryt. Ojciec zaordynował, aby część odciąganego mleka łączyć z wodą i mąką, gotować i taką zawiesiną poić krowy. Każda krowa w ciągu doby dostawała, co najmniej wiadro takiego płynu do wypicia i efekty w postaci zwiększonej ilości udoju widoczne były wkrótce. Za bardzo dobre wyniki osiągnięte przez gospodarstwo rolne dyrektor Pawłow został przez partię w powiecie doceniony i przeniesiony z sowchozu na stanowisko II sekretarza partii do Pierwomajaska.

Z nowym dyrektorem ojciec nie znalazł wspólnego języka i zrezygnował ze swojego stanowiska. Jednak były dyrektor nie zapomniał o nim, ściągnął ojca do siebie i ponownie powierzył odpowiedzialne stanowisko, tym razem zastępcy szefa gospodarki komunalnej. Nie było to samodzielne stanowisko, ojciec podle-

gał pod wysoko postawioną partyjnie kobietę, która nie znała się nie tylko na wodociągach ale tak naprawdę na niczym. W stosunku do ojca zachowywała się bez zarzutu. Sekretarz Pawłow i na tym powiatowym stanowisku dużo zawdzięczał mojemu ojcu, który nie tylko mądrze i sumiennie pracował, ale miał także zmysł organizacyjny. Pewnego dnia zepsuł się radiowęzeł. Trwała wojna, a ludzie chcieli wiedzieć, co się dzieje na froncie. Gdy nikt z pracowników nie potrafił go zreperować, sekretarz Pawłow wezwał ojca i zapytał czy ma na to jakąś radę. Ojciec niestety nie znał się na naprawie takiego sprzętu, ale zaproponował rozwiązanie – w odległości około 60 km od powiatu w miejscowości Wierszowo był duży obóz jeńców niemieckich i tam z pewnością uda się znaleźć fachowców. Dowódca NKWD zgodził się i dwóch milicjantów pod eskortą przywiozło elektryka, który usunął usterki i radiowęzeł zaczął nadawać.



Pobyt na Syberii – ojciec trzeci w drugim rzędzie

Jako jedenastolatek musiałem pracować. Zostałem pastuchem. Początkowo pasłem owce, później krowy. Obowiązki pastucha sprawowałem niedługo, do października lub listopada, bo nikt z zarządzających nie pomyślał, że zwierzęta zimą też muszą coś jeść i nie zaopatrzył sowchozu w żywność dla zwierząt. Krowy ocalały, ale barany poszły do rzeźni. Później zostałem listonoszem w mojej miejscowości. Co drugi dzień, na wspinałym kucyku jeździłem do rejonu, czyli powiatu oddalonego o około 12 km. Przywoziłem stamtąd listy i paczki, bo w tym czasie Rosjanie doszli już do terenów zamieszkałych przez

Niemców, czyli do Prus Wschodnich i każdy żołnierz mógł wysłać raz w miesiącu 10 kg paczkę, z tym „co kupić”. Kolejną pracę podjąłem w mleczaralni jako poganiacz wielbłąda. Niemcy mieli wszystko zmechanizowane, siłę napędzającą maszyny zapewniał chodzący w kieracie wielbłąd. Dzięki jego pracy można było mechanicznie odciągać śmietanę, robić masło.

W Nadwożańskiej Republice mieszkaliśmy 2 lata, do 1946 r. Przez ten cały czas osoby z naszego transportu były nadzorowane przez NKWD. Pewnego dnia żołnierze zawiadomili nas, że mamy się pakować, bo wkrótce przyjadą po nas ciężarówki i przewiozą do miejscowości Plos, w której będziemy oczekiwać na transport do Polski. W pierwszej chwili wiadomość przyjęliśmy z niedowierzaniem, bo wcześniej nie mieliśmy żadnych sygnałów, że możemy liczyć na powrót do kraju. A później, eksplozja radości. Na stacji kolejowej Polacy i Żydzi z naszego rejonu ochoczo i z radością zapełniali wagony, na następnych dołączali kolejni, za wyjątkiem tych, którzy na ochotnika zgłosili się do dywizji im. T. Kościuszki. Jakże inaczej znosiliśmy trudy podróży, gdy każda godzina przybliżała nas do Polski, do domu.

## 6. Powrót do Polski

Na zakończenie chciałbym oddać hołd mojemu ojcu i w kilku słowach wyrazić swój podziw i uznanie dla niego. Był wspaniałym człowiekiem, zawsze, aż do końca swojego życia był dla mnie wielkim przyjacielem i autorytetem. Mieliśmy mnóstwo wspólnych tematów a zmagania i przeżycia syberyjskie wzmocniły naszą miłość, ukształtowały postawy moralne i wpłynęły na moje życiowe wybory. Zmarł w wieku 84 lat i choć długo dane było mi z nim przebywać, wciąż czuję niedosyt jego obecności przy mnie.

\*

## Kazimierz Kotowski – Z rodzinnej wioski na zesłanie

### 1. Deportacja

Z rodzinnej wioski w Gronostajach obecnie powiat łomżyński woj. podlaskie wywieziono mnie i moją rodzinę w piątek 18 czerwca 1941 r. Dlaczego? A czy Rosjanie tłumaczyli? Być może jednym z powodów była konspiracyjna działalność młodszych braci ojca, którzy od 17 września 1939 r. aktywnie uczestniczyli we wszystkich akcjach skierowanych przeciwko komunistycznym władzom Związku Radzieckiego. Dwukrotnie funkcjonariusze NKWD próbowali ich zatrzymać, ale stryjkowie za każdym razem byli uprzedzeni i nie nocowali w domu. Ale za to aresztowano ojca? Nie był długo przetrzymywany w areszcie, ponieważ nie było żadnych dowodów świadczących na jego niekorzyść, ponadto ojciec nie należał do żadnej organizacji. Był przykładnym opiekunem rodziny składającej się z sędziwej matki, żony i szóstki dzieci.

Żołnierze zapukali w drzwi domu około trzeciej nad ranem. Przygotowaną mieli jedną furmankę najętą od sąsiada i kazali się pakować, bo będziemy wywiezieni - jedziecie na białe niedźwiedzie. Pakowanie niezbędnych rzeczy trwało około dwie godziny. Okazało się, że dla tak licznej rodziny potrzebna

była jeszcze jedna furmanka, dlatego ojciec kazał zaprząć do wozu konie z naszego gospodarstwa. Babcia czyli mama ojca miała 80 lat, jej NKWD nie planowało zabrać, nawet rzucili takie zdanie - *Staruchy nie zabieramy*. Dzięki temu babcia pozostała i doczekała się naszego powrotu z zesłania. Moje cztery siostry, dwie młodsze i dwie starsze, ośmiomiesięczny braciszek, ja dziesięcioletek i rodzice zostaliśmy przewiezieni do miejscowości Czerwony Bór. Tam przez całą sobotę Rosjanie zwozili kolejne osoby przeznaczone na zsyłkę. Deportacja ludności z naszej wsi odbyła się jednorazowo, w innych okolicach regionu trwały one przez cały czerwiec. Gdy zakończono zwożenie kolejnych rodzin, kazano wsiadać do podstawionych wagonów. Były to kryte wagony towarowe, oczywiście przystosowane już do szerokich torów. Wewnątrz, w połowie wysokości umieszczone były prycze, a po obu stronach wagonu, naprzeciw siebie znajdowały się przesuwane drzwi i w jednej części otwór pełniący funkcję ubikacji. Nad pryczami znajdowały się niewielkie okienka zabezpieczone sztabą uniemożliwiającą przecięnięcie się na zewnątrz. Na podłodze mogliśmy umieścić zabrany z rodzinnego domu dobytek. Prawie wszyscy zmieściliśmy się na drewnianych ławach, ale część ludzi wołała spać na podłodze w pobliżu swoich tobołków. Nam przypadło miejsce w pobliżu okienka. Z tego co wiem, z reguły do wagonów przydzielano od 50 do 70 osób, w naszym wagonie znalazły się 72 osoby. W czasie załadunku cackania z nami nie było. Mogę powiedzieć, że Rosjanie nie byli zbyt ordynarni. Oczywiście pilnowali nas nieustannie, na nic nie pozwalali i przy próbie ucieczki strzelali, ale nie pamiętam aby się specjalnie nad nami pastwili. Moi rodzice, mimo ciągłego utwierdzania ich że jedziemy na białe niedźwiedzie trzymali się dzielnie. Ojciec był niewzruszony, a matka także nie płakała, bo wierzyli, że wrócą do domu. Szczególnie mocno przeżywały wywózkę osoby starsze i kobiety. Przez całą podróż towarzyszył nam płacz, lament i zamartwianie się co będzie dalej. My dzieci nie mieliśmy takiego poczucia.

Po dwóch dniach, w nocy z soboty na niedzielę skład pociągów ruszył w kierunku Łap. W Łapach dołączono kolejne wagony jadące do Białegostoku. I tak 22 czerwca nad ranem około 4,30- 5,00 znaleźliśmy się w Wołkowysku. Dziś jest to niewielkie białoruskie miasteczko leżące w pobliżu przejścia granicznego w Bobrownikach.

Transport wjechał na stację kolejową w dniu wkroczenia wojsk niemieckich na terytorium Związku Radzieckiego. Dla naszych oprawców nastał czas działań wojennych a dla nas pierwsze bombardowanie. Nad wagonami przeleciały dwa niemieckie samoloty bojowe i rozpoczął się ostrzał. Bomby spadały po obu stronach składu, na nasze pytanie co to znaczy, bo nie wiedzieliśmy nic o wojnie, enkawudziści odpowiadali że to nic takiego, ot ćwiczenia wojskowe. Za jakieś półtorej godziny nadleciała eskadra samolotów i rozpoczęło się bombardowanie kolejnych obiektów kolejowych. Na torowisku widzieliśmy spalone wagony, kilka osób leżało zabitych, nieco więcej było rannych. Wydawać by się mogło, że w tym galimatiasie ludzkich ciał, waliz, worków, dymu i chaosu nadarza się okazja do ucieczki, niestety ilość strażników z NKWD z karabinami nie gwarantowała powodzenia i o żadnej ucieczce nie było mowy.

Nocą pociąg wyruszył ze stacji, strażnicy mówili, że gdy dojedziemy do Mińska to działania wojenne się zakończą. Niestety na miejscu okazało się, że miasto płonęło. Przez kolejne dwa tygodnie jechaliśmy pod niemieckim



ostrzałem. Wiele osób z transportu zginęło. Konwojenci NKWD kilkakrotnie odnotowali próby ucieczki, najczęściej śmiałkowie wycinali w podłodze otwór, przez który podczas postoju na boczniczy lub stacji próbowali wydostać się na zewnątrz. Niestety, wszystkie próby o których wiem zakończyły się tragicznie, enkawudziści bez żadnych skrupułów zabijali uciekinierów.

Do Uralu korzystaliśmy ze swoich zapasów żywnościowych, a od strażników otrzymywaliśmy tylko gorącą wodę. Jeśli komuś zabrakło jedzenia, współtowarzysze dzieli się między sobą. Po przejechaniu gór i w miarę oddalania się od granic frontu, zaczęto przygotowywać posiłki. Zwykle była to jakaś zupa, czasami zdarzało się otrzymać niewielką dodatkową porcję jedzenia. Mogę powiedzieć, że w czasie, kiedy my byliśmy deportowani, czyli w okresie kiedy Związek Sowiecki został zaatakowany przez Niemców nie odczuwaliśmy tak drastycznie głodu jak to opisywały osoby, które doświadczyły wywózki w poprzednich latach. Po upływie kolejnych czterech tygodni, wolnych już od wojennych bombardowań, 70 wagonów wtoczyło się na bocznicę stacji kolejowej w Omsku. Wcześniej kilka wagonów odczepiono i zostały skierowane na inne tory.

Zaprowadzono nas na teren byłej cerkwi, na miejsce w którym wcześniej stacjonował cyrk. W okresie letnim cyrkowe występy odbywały się w okolicznych wsiach i miasteczkach, dlatego wielki plac był pusty. Przebywaliśmy tam około dwóch dni i w tym czasie przeprowadzono obowiązkową akcję kąpieli i odswadzania. Po otrzymaniu przydziału, cała nasza rodzina wraz z grupą innych Polaków została skierowana na statek, było nas około 300-400 osób. Wśród tych osób znajdowały się również rodziny z naszych okolic. Dzień i noc płynęliśmy w dół rzeki Irtysz, wysadzono nas w miejscowości Borszorecze, a stamtąd po kilku godzinach oczekiwania zawieziono ciężarówkami do sowchozu odległego o około 60 km. Nie wszyscy, którzy płynęli z nami rzeką wyszli na ląd. Duża grupa deportowanych popłynęła dalej. Nasz sowchoz składał się z 3 filii znajdujących się w promieniu 13 km i tak też zostaliśmy rozlokowani.

## 2. Sowchoz

Wieś, do której nas przywieziono – Czebakłyk, położona była nad jeziorem w pobliżu syberyjskiej tajgi. Składała się z około 100 jedno i dwurodzinnych domów. Jeśli dobrze pamiętam mieszkali w niej ludzie, co najmniej 16 narodowości. Byli to Tatarzy, Kirgizi, Kozacy, Finowie, Niemcy, Białorusini, Ukraińcy, oczywiście najwięcej było Rosjan. Polskich rodzin było dwanaście. Większych antagonizmów między poszczególnymi narodowościami nie zapamiętałem, trochę było pretensji do Niemców, ale bardziej związane one były z przebiegiem wojny. Wszyscy mieliśmy trudny los. Muszę przyznać, że Rosjanie którzy, nie brali udziału w bitwach wojny 1920 r. byli w stosunku do Polaków raczej przyjaźnie nastawieni. Natomiast ci, którzy walczyli na wojnie zdecydowanie nas prześladowali.

Sowchozy to gospodarstwa należące do państwa, a powstałe w wyniku przejścia majątków ziemskich od wielkich posiadaczy. W Polsce ich odpowiednikiem były PGR. Wynagrodzenie za pracę wypłacane było w rublach w określonych odcinkach czasowych. Dużo Polaków deportowano do pracy w kołchozach. Ich struktura była inna, przede wszystkim była to własność

zespołu mieszkających ludzi, taka jakby spółdzielnia. Rozliczenie zysków następowało na koniec roku. Przeliczano go na zboże i płody rolne, a wypłacano w naturze, po przeliczeniu tzw. *trudodni*.

Nasza ośmioosobowa rodzina należała do dużych, dlatego do „dyspozycji” otrzymaliśmy pół domku drewnianego w którym jeszcze przez kilka dni mieszkała z nami poprzednia lokatorka – samotna kobieta, nauczycielka. Otrzymała ona wkrótce przydział do innego domku, ale długo w nim nie pomieszkała, bo wysłano ją na front jako sanitariuszkę. Inne, mniejsze rodziny łączono, czasami z Polkami innym razem z Rosjanami. Otrzymane pół domku to nic innego jak jeden duży pokój z czego ¼ powierzchni zajmował żółty, gliniany piec. Jego zaletą było to, że służył nam do ogrzewania, gotowania i spania.

Domy budowane były z okrągłaków, czyli przeciętych na pół kłód drewna, które nie były ciosane na kwadratowe bale. Ocieplenie stanowiła masa powstała z mieszaniny gliny, mchów i porostów, wpychana w szpary pomiędzy okrągłakami. Budowle te miały płaski dach a sufit tworzyły kolejne warstwy nieociosanego drewna wzmocnione gliną i zasypane ziemią, na której znajdowały się niewielkie ilości darniny ułożonej pod lekkim kątem dzięki temu powstawał naturalny niewielki spadek umożliwiający odpływ wód deszczowych. Niektóre domy, głównie biurowe lub bogatszych osób posiadały dach, ale nie był on kryty dachówką. Rusztowanie wykonane było, co prawda z krokwi, ale wyłożone ono było faszyną i darniną ciętą w pasy. Takie jakby kostki układano jak dachówkę. Gdy powierzchnia zarosła trawą, deszcz lub śnieg bez trudu po niej spływał. Zimą bywały okresy, że napadało tak dużo śniegu, że domki zasypane były aż po dachy. Nigdy jednak tak nie było, aby cała wieś znalazła się równiutko pod śniegiem, i tylko dzięki temu możliwa była wzajemna pomoc.

Pod domkami znajdowała się zazwyczaj piwnica, w której przechowywano to wszystko, co można było wyhodować w ogródkach i składować. Gdy nadchodziła jesień okopywało się domek na głębokość około metra tworząc wokół niego jakby fosę, a pozyskaną ziemią obkładano budynek aż pod framugi okienne. W ten sposób zapobiegało się przemarzaniu ścian zimą. Wiosną ten wał ziemny się rozkopywało i zakrywało istniejący rów.

Nie mogliśmy uczestniczyć w obchodach świąt religijnych, bo polityka stalinowska skutecznie zwalczała jakiegokolwiek przejawy kultu religijnego. Starsi Rosjanie pamiętali o terminach przypadających świąt, pomimo że nie były one zapisane w kalendarzu, my zaś staraliśmy się je jakoś zawsze uczcić. Nie tylko wspólną rodzinną modlitwą ale także zwyczajami. Mimo, że każdy dzień świąteczny był normalnym dniem pracy, zawsze znajdował się czas na podzielenie się opłatkiem czyli plackiem z wody i mąki lub jajkiem i złożeniem sobie życzeń.

My Polacy trzymaliśmy się razem nie tylko w czas świąteczny. Między-ludzkie więzi mimo bardzo trudnej sytuacji pozwalały na godne podziwu decyzje. Jedną z matek, pani Bogucka, wywieziona wraz z córką spod łomżyńskiej wsi Boguszyce, zaopiekowała się czwórką dzieci wywiezionych bez rodziców, najstarszy chłopiec miał lat 16 a najmłodszy 6 lat. Nie miała łatwo. Jak się później okazało takich wywozek samych dzieci było bardzo dużo. Enkawudziści bezwzględnie wypełniali wydane rozkazy- jeśli w domu nie było rodziców deportowali dzieci.

W naszym sowchozie rodowitych Sybiraków było bardzo mało, ale nie jestem w stanie określić liczby. Za cara były to tereny bardzo bogate, właściciele – głównie Tatarzy mieli po 100-200 sztuk bydła, po 5 tysięcy owiec. Wielka przestrzeń i bardzo małe zaludnienie sprzyjały rozwojowi hodowli. Po rewolucji październikowej polityka bolszewików była taka, że niepoprawnych Rosjan zsyłano do łagrów a oni po odbyciu kary zostawali na znanych sobie terenach, bo nie mieli prawa powrotu do swoich dawnych siedzib.

Tatarzy mieli swoje odrębne prawo bytu, nie mieszkali w osiedlach sowchozu, nie budowali domów, mieszkali w ziemiankach. Taka ziemianka wybudowana była z darniny, zadaszona jakąś polepą, którą później nakrywano darniną. Jak dawniej, mogli hodować owce i konie. Z mleka pozyskiwanego od kłaczy wytwarzali kumys. Z opowiadań wiem, że gość w tatarskiej wsi częstowany był kumysem, jeśli jednak gość był niepożądany, to tego napoju mu odmawiano i znaczyło to, że powinien opuścić wieś.

Gdy zamieszkaliśmy w sowchozie, przez krótki okres czasu w razie problemów zdrowotnych mogliśmy korzystać z pomocy trójki lekarzy, niestety wcieleni zostali do służby wojskowej. Pozostała nam tylko polska akuszerka, która dla mieszkańców naszego sowchozu i okolicznych wsi rozlokowanych w promieniu 25 km musiała być także lekarzem.

Klimat był dla nas dokuczliwy. Lata były bardzo gorące, zimy zaś bardzo surowe. Już w listopadzie często padał śnieg i ziemia zmarzła. Początkowo mróz był niewielki, ale w styczniu i lutym dochodził do minus 45 stopni. Ale zimą pojawiało się coś bardzo niebezpiecznego – buran, czyli silny porywisty wiatr wiejący z północnego zachodu, któremu towarzyszyły obfite opady śniegu. Tubylcy zazwyczaj potrafili go przewidzieć i wiedzieli, kiedy to nastąpi. Wiało wtedy niesamowicie, nie było widać świata i taka zawierucha trwała zwykle przez 2-3 dni. Po takim buraniu tworzone patrole, których zadaniem było odnalezienie osób, które nie zdążyły się schować przed nadciągającą wichurą. Przypadki odnalezienia żywych ludzi były nieliczne.

Nasz sowchoz znajdował się na terenie nizinnym i otoczony był lasem. Nie były to drzewa iglaste, tajga znajdowała się od nas jakieś 200-350 km na północ. W najbliższym drzewostanie dominowała wierzba, osika i brzoza. Te gatunki służyły nam jako drewno opałowe, które trzeba było na zimę zgromadzić. W pierwszym półroczu naszego pobytu bardzo dziwiły nas wysokie pnie, które pozostały po wycięciu drzew. Nie mogliśmy zrozumieć jak można pozwolić sobie na taką niegospodarność, a ponadto, kto to tnie drzewo na wysokości około 1,5 metra od ziemi? Po przeżyciu pierwszej zimy, wszystko dla nas stało się zrozumiałe. Otóż przy zimowym wyrębie drzew nikt się nie bawił w odkopywanie śniegu zgromadzonego wokół pnia, udeptało się go nieco i ścinało się drzewo pozostawiając pnie wystające nieco ponad pokrywą śnieżną. Wiosną, gdy śnieg stopniał ukazywały się te 1-2 metrowe pozostałości po ściętych drzewie.

### 3. Praca w sowchozie

W pierwszej kolejności po zakwaterowaniu nas zajęto się zatrudnieniem mężczyzn. W naszej grupie znajdowali się głównie rolnicy i to dla nich pracy było dużo przy hodowli bydła. Szukano także różnych specjalistów, ojciec

z racji tego, że w młodości pracował na budowach jako cieśla przedstawił się jako specjalista od wykonywania drewnianych konstrukcji i został przydzielony do brygady cieśli. Dla matki przewidziano pracę w godzinach nocnych jako stróż, a najstarszą siostrę przydzielono do geodety. Druga siostra znalazła się w grupie kobiet zajmujących się pracami w polu. Pracowała przy sianokosach, pieleniu, żniwach. Rosjanie byli mistrzami w stawianiu stogów z sianem, robili to sprawnie i szybko. Do koszenia trawy przeznaczonej na siano wykorzystywano nie tylko kombajny, ale także kosy. Do grabienia wykorzystywali tzw. wołokusze, takie 3 metrowe grabie ciągnane przez krowy lub woły. Przygotowanie i zabezpieczenie odpowiedniej ilości siana było dla sowchozu priorytetowym zadaniem, ponieważ cały jego byt opierał się na hodowli bydła mlecznego i rzeźnego.

Stworzono również tzw. grupę ogrodową zajmującą się uprawą około 50 hektarowego warzywnika. Wiosną trzeba było pola obsiać, latem wyplewić, a jesienią zebrać plony i je zmagazynować. Do tego celu służyły kopce, w dół szeroki na 8 m, długi na 20-30 m i głęboki na 3 m, składano warzywa. Czasami ściany boczne zabezpieczano drewnem. Budowla od góry przysypana była ziemią i obłożona słomą oraz faszyną. Te warstwy dostatecznie chroniły zbiory przed przemarzeniem.

Obory, w których zimą przebywało bydło, sklecone były z desek, na które narzucono krokwie i taką konstrukcję pokrywano faszyną, trawą, sianem. Zwierzęta tak długo stały w oborze jak długo mogły się w niej zmieścić, a gdy warstwa obornika urosła do wysokości 1-1,5 m to się oborę rozwalano i stawiano nową na nowym miejscu. Starego obornika na pola nie wywożono, zostawał, leżał tak przez kilka lat, fermentował, wysychał. Czasami jakiś niedopałek papierosa spowodował jego pożar. Ugaszenie go było niemożliwe.

Zimą trzeba było uważać na wilki, które przychodziły do zagród, podkopywały się i robiły wśród zwierząt spustoszenie. Groźne były tylko wtedy, gdy były głodne. Latem udawało się nam stada upilnować. Tylko jeden raz natknęliśmy się kilka wilków podchodzących pod zabudowania, ale wracaliśmy grupą, uzbrojeni byliśmy w widły i dlatego nie bardzo się baliśmy. Ale pamiętam te świejące oczy.

Dzieci przebywające w sowchozie powinny chodzić do rosyjskiej szkoły, ale nie wszystkie się do niej garnęły, a i władze nie przestrzegały ściśle tego obowiązku. Liczyło się to, że mogły pracować i coś zarobić, a każde dodatkowo pozyskane pieniądze przeznaczone były głównie na jedzenie. Do szkoły chodziłem przez całe 5 lat, ale tylko w zimie od października do końca kwietnia. O dziwo przepuszczano mnie z klasy do klasy, szczerze powiedziawszy nie zasługiwałem na to, niemniej otrzymałem świadectwo ukończenia siedmiu klas radzieckiej szkoły. Nawet tak fragmentaryczna nauka okazała się pomocna po powrocie do Polski, bo nie miałem żadnych trudności z matematyki, fizyki, wiadomo, że jedynym problemem był język polski. Stosunki z rówieśnikami układały się nam dobrze, wiadomo nie byliśmy idealni, jak to dzieci, raz dostało się po głowie, innym razem samemu się dało.

Z czasem przywieziona z kraju odzież i buty uległy takiemu zniszczeniu, że trzeba było myśleć o całkowitej wymianie. Kobiety na bieżąco dokonywały przeróbek, naszywały łąty, cerowały. Ratowały ubrania aż do całkowitego

zniszczenia. Braki w obuwiu uzupełnialiśmy różnymi sposobami. Najczęściej od Rosjan kupowało się wełnę, bo oni mogli legalnie hodować owce. Wełnę się filcowało i z takiego szarego filcu szyło się buty, walonki, Aby przedłużyć ich żywotność należało pozyskać materiał na podeszwy. A podeszwy można było wykorzystać ze starych, jeszcze polskich butów, wtedy nasz szewc dokonywał cudów składając np. jedną z kilku przetartych lub niemiłosiernie zniszczonych. Z wikliny nie robiliśmy spodów, jeden tylko Kulesza w nich chodził. Naszym wynalazkiem były podeszwy i buty parciane lub skórzane. Materiał na nie pozyskiwało się poprzez kradzież pasów napędowych do maszyn. Jeśli udało się ukraść pas parciany, większość z nas chodziła w butach parcianych, jeśli pas był skórzany, to mieliśmy w butach elementy skórzane. Takie, różne kombinacje - proza sowchozowego życia.

Od czasu wojny z Niemcami prawie wszyscy dorośli mężczyźni powołani zostali do wojska, w sowchozie pozostali tylko nieliczni, zesłańcy oraz kobiety i dzieci. Nadszedł trudny czas. Ojcu przydzielono brygadę składającą się z około 40 kobiet, z którą musiał budować nowe i remontować stare obory dla bydła i cielętniki do wychowywania cieląt.

#### 4. Żywnienie

Przez kilka dni po przyjeździe mieliśmy jeszcze zapasy żywności z domu, była to kasza i mąka. Gdy się skończyły mama wiedząc od mieszkającej w sowchozie Rosjanki, że „wsio, jest nasze” poszła w pole podebrać ziemniaki. W sumie zebrała ze 20 sztuk i w domu zaczęła je obierać. Wtedy odwiedziła ją ta sowietka i chciała ukarać za kradzież. Mama wytłumaczyła jak zrozumiała pojęcie „wspólne” i to pierwsze wykroczenie zostało jej darowane, a cała przygoda weszła do kanonu naszych rodzinnych anegdot.

Początkowo otrzymywaliśmy po 800 g chleba. Ale nie był to przydział bezpłatny, tą określoną ilość musieliśmy sobie zakupić. Za wykonywaną pracę, co prawda otrzymywaliśmy wynagrodzenie, ale ono z trudem pozwalało na wykupienie reglamentowanych porcji. Wielkość przydziału dla nas malała w miarę przesuwania się wojsk niemieckich w głąb ZSRR. W 1945 r. ustabilizowała się i osoba pracująca mogła kupić 400 g, na dziecko przypadało po 120 g. Chleb dostawaliśmy pieczony z pszenicy, owsa, jęczmienia, prosa, czyli ze zboża, którego w danym okresie czasu było najwięcej. Najgorszy w smaku był z prosa, ponadto rozsypywał się tuż po wyjęciu go z foremki. Można było odpłatnie korzystać z posiłków przygotowywanych w stołówce, część jednak przygotowywała jedzenie w domach.

W sowchozie wolno było chować zwierzęta, ale przywilej ten należał do Rosjan. Ziemi wolnej dla nas do zagospodarowania nie było, a w pole wychodzić z ogródkiem nie było sensu, bo stada składającego się ze 150 krów pastuch nie był w stanie upilnować, więc zniszczenie ogródka było pewne. Nawet, jeśli jakimś cudem, zasiewów nie zniszczyły zwierzęta to było pewne, że padną łupem złodziei. W kolejnych latach naszego pobytu, gdy już wrosliśmy w struktury sowchozu, troszkę ugorów udało się nam zagospodarować i to co urosło konsumowane było na bieżąco. Rosjanie mieli na stałe przydzielone ogródki, obcy zaś tylko na czas pobytu, bo byli to ludzie przeznaczeni tylko do pracy w sowchozach i podlegali częstym przesiedleniom.

Osadzono nas w rejonie, w którym znajdowało się bardzo dużo jezior. Nie było ograniczeń na korzystanie z zasobów rybnych. Po dwóch – trzech lat pobytu, kiedy miałem lat 12-13 potrafiłem na wędkę nałapać bardzo dużo ryb i to było nasze główne pożywienie. Najczęściej łowiłem płocie, karasie od czasu do czasu zdarzył się szczupak. Ale najsmaczniejszą rybką okazała się galiana, prawie nie miała ości a łuska była bardzo drobniutka. Bardzo łatwo się ją czyściło, wystarczyło obciąć łepiek, ogonek, wyjąć wnętrzności i po ugotowaniu zjadaliśmy się nią. Nieco później, gdy mieliśmy zrobioną łódkę razem z ojcem wypływaliśmy dalej na jeziora. Jeśli połów należał do udanych zawsze potrzebujący towarzysze niedoli otrzymywali w miseczce prezent od nas. Polscy zesłańcy w naszym sowchozie byli zawsze w stosunku do siebie życzliwi i zawsze wzajemnie się wspomagaliśmy. Rodziny pochodzące ze wsi jakoś sobie razily, bo nawykły były do wiejskich trudów, miały więcej pomysłów na przeżycie, gorzej działo się w rodzinach tych osób, które nie musiały poprzednio pracować fizycznie np. nauczycielskich, wojskowych. Co biedniejszym pomagał szewc, krawiec. Szczególną opieką otaczaliśmy dwie rodziny starszusków; Kalinowskich i Wnorowskich. Z racji wieku nie mogli pracować, więc nie otrzymywali przydziałowego chleba. Pomoc zorganizowaliśmy w ten sposób, że codziennie chodzili kolejno do polskich rodzin na obiad. Jeśli trafili na bogatsze rodziny, jedli więcej, jeśli na biedniejszych zaspokajali tylko głód. Ponadto krawiec i szewc dbali, aby mieli się w co ubrać i w czym chodzić. Nasi starszuskowie nie doczekali się powrotu do Polski.

Ryby przerabialiśmy na różne sposoby suszyliśmy, soliliśmy, piekli, gotowali i mieliśmy jej zapas na okres zimy. Czasami zdarzały się wyprawy do Irtyszu oddalonego od sowchozu o jakieś 60-80 km. Zimą także wędkowaliśmy, ale było to trochę trudniejsze. Jeziora zamarzały na duże głębokości i trudno było wyrąbać przerębel. Znając ich głębiny często w tych miejscach układaliśmy skoszone trzciny i szuwały i podpalali je. Wiadomo, że lód się topił, a ponadto na głębinach nie było dużej pokrywy lodu i tam gromadziły się znaczne ilości ryb. Gdy była możliwość, pod lodem także ciągnęliśmy sieci od jednego przerębla do drugiego.

Na wiosnę zjadało się pokrzywę i komosę gotując je na różne sposoby. Komosa smakuje jak szpinak. Zjadaliśmy się także czerwoną borówką i żurawiną – klukwą, których było bardzo dużo na podmokłych terenach, ale dostarczały nam one tylko witamin a nie kalorii.

Nie było również ograniczeń na ptactwo łowne. Miałem dubeltówkę, wiem, że to brzmi dziwnie, ale mogłem ją zakupić legalnie i nawet nam zesłańcom wolno było mieć broń. Tam był taki system, że prawie w każdym domu na ścianie wisiała broń myśliwska. Problem polegał tylko na tym, że trudno było kupić do niej amunicję, dlatego sami ją przygotowywaliśmy. Różnymi sposobami zdobywało się ołów – kradzieże nie należały do rzadkości. Do wykonania śrutu potrzebne były nam 2 garnki, do jednego wkładało się ołów, drugi stał z wodą. Stopiony ołów malutką dziureczką spływał na wodę i robiła się kuleczka. Gdy woda za mocno wrzała to padające kuleczki rozbijały się o wodę i powstawały nieforemne. Ale i na to był sposób. Kładło się te odlewy na patelnię i tak długo nią poruszało, aż wychodziły foremne kulki. Ołów jest miękki, więc podczas takiego toczenia, kulki stosunkowo szybko nabierały pożądanego kształtu. Polowaliśmy głównie na kaczki i łabędzie,

ich mięso jest bardzo smaczne. Ale celowaliśmy w stado kaczek, a nie do pojedynczych sztuk, bo czasami zdarzało się, że od jednego strzału padły 2 kaczki.

Gdy Niemcy znaleźli się w okolicach Stalingradu dla nas nastał bardzo ciężki okres głodowy. Cały prowiant szedł na potrzeby frontu. Przez kolejnych 73 dni nie otrzymaliśmy przydziałowego chleba. Później przerwy w dostawach były dwu- trzy dniowe. Ten okres był bardzo ciężki szczególnie dla Rosjan, my przesiedleńcy byliśmy już zahartowani w zdobywaniu jedzenia, oni nie, bo nie mieli dotąd takiej potrzeby. Jeśli nie mieli krowy to głód straszliwie doskwierał, były przypadki, że ludzie umierali. Pojawiły się choroby. Szczególnie dużo ofiar śmiertelnych było po tyfusie. Na potrzeby frontu nie tylko żywność nam ograniczono, ale zobowiązano do wykonania określonych ilości wełnianych czapek pod hełmy i rękawice.

W maju 1943 roku było już na tyle ciepło, że bydło i konie przebywały na pastwiskach, bo nie było ich czym karmić. W połowie miesiąca nadszedł buran, wielogodzinne opady śniegu i silne wiatry zrobiły ogromne spustoszenie w stadach koni, padło także wiele krów. Bardzo wielki głód w zimie i ciężki przednówek, spowodował, że mieszkańcy sowchozu jak również pobliskiej wsi chodzili po stepach w poszukiwaniu padliny i po ściągnięciu skóry, z pozyskanego mięsa przygotowywali posiłki.

W okresie silnego głodu bywały kradzieże, ale zazwyczaj nie kradziono sobie wzajemnie jedzenia. Złodziejstwo było surowo karane, za udowodnioną winę szło się na kilka lat do więzienia. Jeśli skazano Polaka, to wyrok zamykał szanse na powrót do Polski.

## 5. Powrót

Przez cały czas odkąd wysiedlono nas z domów żyliśmy w przekonaniu, że wrócimy do Polski. Opowiadaliśmy wszystkim na Syberii, że jesteśmy tutaj tylko chwilowo, wiara w powrót do kraju była w nas na stałe utrwalona i gdy tylko dotarła wiadomość o powstaniu wojska polskiego, zaraz pojawili się pierwsi ochotnicy. Na opuszczenie sowchozu decydowały się także kobiety, które szły do wojska jako sanitariuszki. Mój ojciec nie mógł stawić się jako ochotnik, ponieważ leżał w szpitalu i zmagał się z tyfusem. Po trzech miesiącach unitarnych, zanim wyruszyli na front, otrzymali do podpisania karty, że są ochotnikami. Brak tego dokumentu świadczył o tym, że byli wcielani do wojska obowiązkowo. Wyjechaliśmy 13 maja 1946 r., a droga powrotna trwała 8 tygodni.

Przytoczyłem losy moje i moich najbliższych w oparciu o wspomnienia pozostałe w pamięci. Pomimo upływu tylu lat, ciężko jest je opowiadać. Słowa nie są w stanie odtworzyć tragizmu, zdaję sobie sprawę, że w tym świadectwie przeszłości brak jest emocji, przemyśleń, wewnętrznych dialogów, ale jak w słowach odtworzyć poczucie głodu, bezsilności, strachu i żalu? Były to trudne lata, żyło się bardzo ciężko, ale nikt z moich bliskich nie pozostał na tamtej „niehumanitarnej ziemi”.